

# Jerzy Mikułowski-Pomorski

---

## W poszukiwaniu etosu współczesnego polskiego pracownika nauki

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (46), 115-123

---

1979

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Roztrząsania i rozbiory

## **W poszukiwaniu etosu współczesnego polskiego pracownika nauki**

Trudno określić, co rozumie się dziś przez etos pracownika nauki. Dotychczasowa dyskusja nie przyczyniła się do precyzji tego terminu. Korzystając z tego powiedzmy, że poszukiwać będziemy kryteriów, według których pracownicy nauki są dziś oceniani przez swych kolegów, jak też i przez szersze zbiorowości. Tam, gdzie dowiadujemy się, że ktoś wartościuje postawę, zachowania czy w końcu efekty pracy uczonego, tam spodziewać się możemy, że ma na myśli ów szeroko pojmowany etos.

Pracownicy nauki cieszą się w Polsce najwyższym prestiżem społecznym. Ci, którym wiele dano, powinni też odpowiadać za wiele. Często więc zarzuty czynione tej kategorii pracowniczej wkraczają w sferę faktów, za które nie są oni osobiście odpowiedzialni. Jeżeli mówi się dziś, że nauka nie rozwiązała jakiegoś problemu, że jakaś dziedzina naszych badań nie jest należycie rozwinięta, że odpowiedzi dostarczane przez uczonych nie potrafią rozstrzygnąć zagadnień o praktycznym charakterze, tam zwykle wini się pracowników nauki. Często są to pretensje o czyny nie popełnione, o brak aparatury, niedostateczne finansowanie pewnych gałęzi badań, przeszkody organizacyjne itp.; na usunięcie tych wszystkich mankamentów nauka sama często ma mały wpływ. Niemniej zarzuty te są o tyle uzasadnione, że uczeni sami powinni troszczyć się o właściwy rozwój swojej domeny, tak jak oczekujemy od sprzedawców sklepowych, by mieli dostateczną ilość towarów, a od kierowców autobusów, by posługiwali się wygodnym i nowoczesnym sprzętem. Jest to zarzut o tyle słuszny, że pracownicy naukowi składają się nie tylko o samych szeregowych badaczy, lecz także tych, którzy nauką kierują.

Oceniając obecny stan moralny nauki polskiej, stosujemy często kryteria wypracowane w przeszłości. Wypowiadając takie zdania, definiujemy sobie naukę przeszłości na nasz użytek, posługujemy się pewnym o niej wyobrażeniem, nie zawsze zgodnym z historyczną prawdą.

Materiały wspomnieniowe oraz prace historyków, spośród których wymienilibym bardzo ważne studia Henryka Barycza na temat krakowskiej i lwowskiej humanistyki z przełomu stuleci, ukazują, że ów obraz uczonych przeszłości nie był wcale jednolity i być może znacznie bardziej skomplikowany, niż się nam to dziś chce здаwać.

Wydaje się bowiem, że uczeni przeszłości kierowali się zgodnie kryteriami, które nakazywały słuzenie następującym wartościom:

- prawdzie naukowej,
- badaniom naukowym,
- niepodległości kraju,
- sprawiedliwości społecznej.

Tymczasem słuzenie tym wartościom niejednokrotnie trudne było do pogodzenia.

Wydaje się, że prawda naukowa była i jest tym celem, któremu nauka, zgodnie ze swą tradycją, ma służyć. Dążenie do prawdy jest dziś nadal powszechnie akceptowane, lecz jak można przekonać się, staje czasem w sprzeczności z wartością autoteliczną badań naukowych. Jeżeli uczoney ma prowadzić badania, to nie znaczy, że on właśnie ma dochodzić do naukowej prawdy. Często występujący w nauce spór między podejściem wąskiego empiryzmu a orientacjami teoretycznymi nabierał właśnie charakteru przeciwstawiania tych dwu wartości. Spór ten można pogodzić, twierdząc, że poszukiwacze prawdy głosili strategiczne cele nauki, gdy głoszący zasadę prowadzenia badań naukowych dla nich samych służyli pewnym taktycznym koncepcjom. W myśl tych założeń należy dziś gromadzić materiał, który przyszłym pokoleniom pozwalałby na wypowiedanie na jego podstawie zdań prawdziwych. Nie zawsze zgodę taką uzyskiwano. Dla poszukiwacza prawdy ważny był efekt, dla badacza sposobem jego uzyskania. By sprzeczność tę wyjaśnić, posłużmy się przykładem dla naszych rozważań neutralnym. W swej bardzo szczerej autobiografii naukowej John Watson<sup>1</sup>, jeden z odkrywców struktury DNA, ujawnił, że swoje osiągnięcia zawdzięcza własnej pomysłowości i intuicji, nie zaś znużającym i pracowitym dociekaniami. Przyznaje się otwarcie do swego niedokształcenia w pewnych dziedzinach, do tego, że pewne badania wprost go nudziły i nie okazały tyle charakteru, by je w sposób stały i systematyczny prowadzić. Dyskutowałem tę książkę z pracownikami naukowymi,

---

<sup>1</sup> J. D. Watson: *Podwójna spirala*. Tłum. W. Zagórski. Warszawa 1975 Wiedza Powszechna.

dla których badania rzetelne są cechą naczelną, i stwierdziłem, że w istocie postawa Watsona spotyka się z ich dezaprobatą. Spór o to, czy naukę mierzy się efektami, czy też wysiłkami, jest nadal aktualny. A że występował on i w przeszłości, świadczą dzieje sporów w naukach historycznych.

Przekonanie, że zasadą przeszłości nauki polskiej było służenie niepodległości kraju a potem jego narodowej sławie, wymaga dziś poważnej krytyki historycznej. A czy postawa ta służyła naukowej prawdzie? Benedykt Zientara<sup>2</sup> przypomniał nam, ile szkody dla prawdy historycznej w poznaniu procesów lokacji miast na prawie niemieckim na ziemiach polskich przyniósł ów nacjonalistyczny — jak chcą jedni — czy patriotyczny — jak twierdzą drudzy — spór uczonych polskich z niemieckimi na temat narodowych wartości, które wpływały na siebie w tym procesie. Nie wszyscy też uczeni polscy przejawiali postawę patriotyczną. Trudnego do rozwiązania przykładu dostarcza postać Aleksandra Brücknera, odkrywcy *Kazań świętokrzyskich*, który zaprzeczał swej polskości i odżegnywał się od jakichkolwiek kontaktów z władzami niepodległej Polski. Dalsze trudności kwalifikacyjne przynosi działalność historyków szkoły krakowskiej, zwłaszcza Smolki, którego lojalność wobec cesarstwa nie może być tylko określana jako polityczny realizm polskiego patrioty.

Opublikowane niedawno przez Jerzego Zdradę *Dzienniki* Jana Dąbrowskiego<sup>3</sup>, historyka polskiego wielkiej miary, dowodzą, że chociaż nie przestał on myśleć o narodowej niepodległości, jego nadzieje na rozwiązanie w formie autonomii galicyjskiej czy polskiej pod beriem Habsburgów po I wojnie okazały się programem zbyt skromnym wobec możliwości, jakie stworzyła narodowi polskiemu historia. W każdym takim wypadku pytanie, czy uczeni chcieli polskiej niepodległości, bywa powtarzane.

Jeszcze bardziej wątpliwe są dziś twierdzenia o powszechnym moralnym zaangażowaniu nauki w dziele społecznej sprawiedliwości. Powtarza się przy tym, że to właśnie w majątkach Akademii Umiejętności najdłużej w Polsce utrzymywała się pańszczyzna. A jakie trudności musiały przewycięzać uczone o poglądach społecznie postępowych w środowisku swych akademickich kolegów po to, by utrzymać się na profesorskim krześle, wie każdy, kto interesował się karierą J. Baudoina de Courtenava w Uniwersytecie Krakowskim. Przykładów takich można by podać więcej.

Podnosząc te fakty, nie chcę być poczytany o próby przeniesienia sprawy odpowiedzialności moralnej współczesnego polskiego uczo-

---

<sup>2</sup> B. Zientara: *Przemiany społeczno-gospodarcze i przestrzenne miast w dobie lokacji*. W: *Miasta doby feudalnej w Europie środkowo-wschodniej*. Warszawa 1976 PWN, s. 67—98.

<sup>3</sup> J. Dąbrowski: *Dzienniki*. Kraków 1973 WL.

nego na płaszczyznę historyczną. Pragnę jedynie pokazać, że nawet dla celów własnego doskonalenia uczeni polscy powinni postrzegać przeszłość nie tylko jako źródło jasnych i jednoznacznych kryteriów moralnych, lecz bardziej jako rzeczywistość skomplikowaną, w której być może sprawa wyboru własnej drogi była trudniejsza niż dzisiaj.

Warto też zastanowić się, jakich wymogów nie spełniali dawni mistrzowie, a które stanowią dziś wartość uznawaną przynajmniej wewnątrz naukowego świata.

Przekazy historyczne mówią nam stosunkowo mało o tym, jak dalece cenione były umiejętności przekazywania swej wiedzy. Z kilku pięknych portretów uczonych dowiadujemy się, jak dobrymi byli oni dydaktykami. Lecz z pewnością nie walczyli oni z tymi kłopotami, przed jakimi my dziś stoimy. Kształcenie uniwersyteckie było społecznym przywilejem. Podejmowali je ci, których było na to stać i ci, którzy byli uzdolnieni i nade wszystko silnie *motywowani* do pobierania nauki i samodzielnego studiowania. Słuchacz uniwersytecki studiował, dziś jest uczony. Nie twierdzę przez to, że dawny badacz był mniej uzdolniony do prowadzenia zajęć dydaktycznych. Pewne jest, że zdolności jasnego i atrakcyjnego wykładu czy pobudzania podczas seminariów nie były tak wysoko cenione. A już z pewnością nie próbowano uczyć ich młodych akademickich adeptów podczas formalnych szkoleń pedagogicznych. Profesor czy wykładowca miał być zrozumiany i to było zadaniem słuchacza. Wiadomo, też, że opinia dobrego dydaktyka, zwłaszcza jeżeli zwano go dobrym popularyzatorem, nie była chlubna. Wielu kolegów, a oni przecież wyznaczali owe kryteria oceny, gotowych było podejrzewać, że ten, kto wiele wysiłku wkładał w atrakcyjność swych prac, utracił swe zdolności badawcze lub że nawet nigdy nie był prawdziwie zdolny.

Z przekazów historycznych dowiadujemy się też, że wielu wybitnych uczonych było trudnymi wykładowcami i słabymi dydaktykami. I nie czyniono im z tego poważniejszych zarzutów.

Wydaje się jednak, że uczonej przeszłości dbał bardzo o efekty swoich seminariów, że dążył do tego, by wychować jak najwięcej uczniów i zapewnić im jak najlepsze stanowiska zawodowe. Pogląd ten wydaje się błędny. Gdy studiowałem w Uniwersytecie Jagiellońskim w połowie lat pięćdziesiątych, powszechnie było wiadomo, że wiele seminariów wielkich profesorów, a nawet szkół naukowych, nie produkuje wartościowych badaczy, że nie brak takich profesorów, którzy nie przeprowadzili żadnego doktoratu, a inni czynią wiele, by promocje doktorskie czy habilitacyjne pisane pod ich kierownictwem były rzadkie. Przeciwnie, nawet ci, którzy takiej polityki nie prowadzili, wskazywani byli jako powszechnie chlubne wyjątki, bez względu na to, jaka była ocena ich postaw politycznych przez czynniki oficjalne. Załamanie się ciągłości w nauce — jakie wówczas następowało — nie wynikało tylko

z obiektywnych przyczyn historycznych, lecz było też efektem określonych postaw mistrzów, którzy nie widzieli godnych siebie następców, lub też nie chcieli ich widzieć, traktując to jako rękomię własnej niezachwianej pozycji jedyne go specjalisty. Jeszcze gorzej przedstawiały się stosunki zwane dziś międzyludzkimi. Mistrz żył blisko ze swymi uczniami, lecz też często bezceremonialnie ingerował w ich życie prywatne. Wiadomo, że w Galicji dekret cesarski zakazywał niesamodzielnym pracownikom naukowym wchodzenia w związki małżeńskie, jeżeli nie mieli oni własnego majątku. Wydany był w intencji dobra nauki, a także dowodził dbałości o to, by słabo zarabiający a obciążony rodziną badacz nie obniżał swego poziomu życia i przez to nie przynosił wstydu chwalebnej profesji. Mimo że dekret ten już dawno przestał obowiązywać, jeszcze wielu moich starszych kolegów z prawdziwą treścią szło informować profesora o swych planach matrymonialnych, a rozmowy te — jak mi mówiono — nie należały wcale do przyjemnych i często kończyły się profesorskim zakazem lub groźbą popadnięcia w niełaszkę.

Jeżeli dziś skarżymy się na zanik uczuć koleżeńskich i często bezpardonową walkę o akademickie splendory, to również pamiętać musimy, że duch konkurencji swoiście ożywił dawne seminaria. Wielu dawnych mistrzów i szereg współczesnych ich wychowanków uważa, że zachęcanie do konkurencji z ich kolegami jest najlepszym sposobem motywowania do pracy naukowej, starań często ponad aktualne siły i możliwości adepta. Wówczas sprzyjał temu ograniczony rynek pracy. Dziś jeszcze w wiernych tradycji ośrodkach naukowych, rozwijając ten duch konkurencji, umiejętnie podsycany przez udzielanie prawa do udziału w prawdziwej nauce, wykonywanych jest wiele prac, które honorowane są dobrym słowem lub zapewnieniem o profesorskiej łasce. Kiedyś prowadzona dyskusja nad proletariatem nauki wniosła tu wiele interesujących wątków. Uniwersytety kształciły inteligencję. Ta swoista kategoria społeczna funkcjonuje dzięki społecznej i ekonomicznej sytuacji niepełnego czy niezgodnie z możliwościami wykorzystania absolwentów. Słuchacz przez wiele lat socjalizowany jest do życia akademickiego. Uczy się pracy naukowej, zaczyna cenić osiągnięcia i zaszczyty rozumiane w tym swoistym świecie. Nic więc dziwnego, że większość z nich, zwłaszcza tych, którym udało się coś już w nauce osiągnąć, widzi swą przyszłość jako badacza i nauczyciela akademickiego. Przez wiele lat uczelnia miała do dyspozycji swych najlepszych absolwentów. Właściwe i atrakcyjne zatrudnianie absolwentów, bliższy kontakt z praktyką w okresie studiów sprzyjają zmniejszeniu liczby tych, którzy widzą siebie jako przyszłych badaczy czy wykładowców. Władze uczelni często boleją nad tym stanem rzeczy. Niewiele jednak czynią, by najlepszych zatrzymywać, a polityka etatowa zadania takie niezwykle utrudnia. Dobry wychowawca uniwersytecki, jeżeli rzeczy-

wiecie dba o swoich uczniów, powinien mieć rozległe kontakty i możliwości wpływania na kierunki ich właściwego i w miarę atrakcyjnego zatrudnienia. W przeciwnym wypadku jego prestiż mistrza cierpi a czas spędzony na uczelni przestaje być traktowany przez byłych słuchaczy jako rzeczywiste przygotowanie do drogi życiowej.

Perspektywa przyszłości określana bywa jednym dość pojemnym terminem rewolucji naukowo-technicznej. Nikt nie wątpi, że ona nastąpi i w wymiarze makrospołecznym jest ona możliwa do określenia. Wiadomo więc, że wzrośnie stopień zatrudnienia absolwentów szkół wyższych w gospodarce narodowej, że udział procesów przetwarzania informacji w globalnym dochodzie narodowym poważnie zwyczajkuje (w USA osiąga on poziom 25<sup>0</sup>/0), że udział elementu twórczego w pracy produkcyjnej wzrośnie itp. Nie daje to jednak poglądu na sytuację społeczną nauki. Trudno dziś zwykłemu pracownikowi uczelni określić, czy procesy te będą rozwijać się poważnie na terenie uczelni, czy też będą polegały na praktycznym wykorzystaniu zdobytej w szkole wyższej wiedzy. Nie wiadomo więc, na ile zmieni się sytuacja samej szkoły i środowiska uczonych. Jak zawsze problematyczna jest też pora, w jakiej stanie się to codziennym życiem polskiego pracownika nauki. Mimo czasu, jaki upłynął od rewolucji powielaczowej, większość moich kolegów nadal przepisuje strony z literatury miast korzystać z kserografów, które stały się prestiżowym wyposażeniem ważniejszych urzędów i służą głównie do powielania okólników. Patrzenie w przyszłość polegać więc może na oczekiwaniu, że procesy, które dokonują się dziś w świecie nauki, ulegną upowszechnieniu i wypracowaniu bardziej stabilnych i poddających się ocenie moralnej form działania.

Janusz Goćkowski<sup>4</sup> wskazał na kilka takich procesów, nie pora więc je tu przytaczać. Powodują one, że od dobrze pracującego pracownika nauki w miarę jego awansu wymaga się wykazywania wielu nowych cech, które okazywane na terenie nauki nabierają swoistych wartości. Wymieniony przez Goćkowskiego kolektywizm pociąga za sobą umiejętność prowadzenia zespołowych prac naukowych, co wymaga posiadania dużej dozy cierpliwości, zdolności jasnego komunikowania swych pomysłów we wczesnym stadium pracy, umiejętności dzielenia się pracą, ale i sukcesem, a nadto punktualności i akuratności dokonywania pewnych prac wstępnych. Jak wykazały badania Bogdana Cichomskiego<sup>5</sup>, wielu przyszłych doktorów w naukach technicznych umiejętności tych nie wykształciło. Wyobrażam sobie, jak znacznie gorzej przedstawiają

---

<sup>4</sup> J. Goćkowski: «Klerkowie» i «eksperti». „Teksty” 1978 nr 2, s. 63—80.

<sup>5</sup> B. Cichomski: *Nauka jako instytucja społeczna*. Warszawa 1976 PWN.

się pod tymi względami możliwości współpracy humanistów, zwykle bardzo indywidualnych w swej działalności twórczej.

Interdyscyplinarność to inna właściwość. W gruncie rzeczy jesteśmy wobec niej bezradni. Jak spowodować, by współpracujący z sobą przedstawiciele różnych dziedzin byli w tym dziele twórczy? Niewątpliwie, jak wskazują doświadczenia, pierwszy etap takich wspólnych prac bywa dla wszystkich uczestników bardzo inspirujący, zwłaszcza gdy dotyczy to uzgodnienia kwestii aksjologicznych. Wkrótce jednak następuje poważne rozejście, brak kontaktu i bardzo często wzajemnego zrozumienia dla znaczenia poszczególnych działań dla całości. Już na tle współpracy międzydyscyplinarnej pojawia się potrzeba wykształcenia się typu badacza-tłumacza, typu filozofa fenomenologa czy nie pozbawionego wyobraźni metodologa, który potrafi zrozumieć i przetłumaczyć sens prac i wyników poszczególnym członkom zespołu. Już na tym etapie funkcje takie pełnić może inteligentny dyletant, postać jak dotąd w świecie nauki dość powszechnie pogardzana. Przejdźmy do całego kompleksu problemów nazwanego biurokratyzacją nauki. Jak sądzę, pomieszcza się tu wiele zjawisk i procesów o bardzo różnym charakterze. Łączy je fakt pisania przez badacza pism urzędowych miast raportów z badań. Lecz pisma urzędowe bywają różnego rodzaju i załatwiają szereg spraw, bez których dobry kierownik pracy naukowej byłby źle oceniany przez swych współpracowników-podwładnych. Nawet pisanie planów i sprawozdań ma różne cele i może być dobrze lub źle prowadzone. Dobrze, jeżeli pociąga to za sobą wzrost środków na badania, właściwą pozytywną ocenę ich wyników, co przybiera bardzo określone postacie.

Pisma urzędowe dotyczą też w dużej mierze spraw rozwoju kadry, stypendiów i wyjazdów zagranicznych czy wniosków o socjalnym charakterze. Działania te poparte bywają umiejętnością rozmowy, dyplomacją w ramach instytucji itp. Na ocenę pracownika naukowego wyższego stopnia wpływają więc jego umiejętności pomyślnego rozwiązania tych zadań i zaczyna on być ceniony za te właśnie cechy, bez względu na to czy wyniki jego badań kwalifikują go do czołówki krajowej, czy nie. Wybitny badacz, który nie potrafi niczego załatwić dla swego zespołu a nadto jest skłócony z radą wydziału, tak że nawet jego wnioski o otwarcie przewodu doktorskiego przyjmowane są nie jednogłośnie, co jak wiadomo daje dużo do myślenia na temat jakości doktoratu Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej, wydaje się podejrzany.

Pod mianem biurokratyzacji nauki pojmować można również pewną właściwość badań skierowanych na rozwiązywanie problemów stwarzanych bardziej przez urzędników niż przez rzeczywistość. Wiadomo, że różnego rodzaju urzędy, poczynając od organizacji międzynarodowych a na administracji terenowej kończąc, formułują wiele problemów, które na użytek ich działania określają rzeczy-



wistość. Wiele tzw. badań o praktycznym znaczeniu nastawionych jest na to, by problemy te opisywać i wyjaśniać. Do niedawna wielu ekonomistów, a także i socjologów zajmowało się Polską rozbitą na 17 województw, uzasadniając przebieg procesów integracyjnych dokonujących się w tak wyodrębnionych jednostkach. Dziś nowy podział administracyjny nakazuje im w efekcie zapominać o tym, co do tej pory robili lub nawet temu zaprzeczać. Do niedawna na przykład rozważania nad regionem Podhala czy też Podtatrza zamykały się w dyskusjach nad funkcjonowaniem byłego powiatu nowotarskiego, dziś dotyczą województwa nowosądeckiego. I w pierwszym, i w drugim wypadku nie jest to obraz pełny, lecz uzależniony od podziałów rządowych, a nade wszystko od produkowanych na użytek urzędowy statystyk. Wyzwalanie się z tych schematów jest niejednokrotnie trudne do dokonania, a nawet więcej — przyjmowane jako niepotrzebne utrudnienie.

Szukając powszechnych kryteriów ocen postępowania uczono, natrafiamy na trudności wynikłe z różnych sytuacji poszczególnych gałęzi nauki. Z niektórych z nich zdajemy sobie sprawę. Weźmy kwestię wskaźników, którymi mierzymy osiągnięcia indywidualne. Wiadomo więc, że nauki techniczne — dzięki możliwości rozwiązywania pewnych problemów naukowych we współpracy z przemysłem — dają lepsze zarobki i ich wysokość może być podstawą do ocen, co kto jest wart. Wiadomo, że kryterium pracy fizyka teoretycznego, a także dziś archeologa śródziemnomorskiego jest fakt wyjazdów za granicę, jednego do światowych instytutów w Genewie czy Dubnej, drugiego na poszukiwania w Egipcie. Kryterium takie nie może być dobrze stosowane wobec chemików i etnografów.

Wydaje się w końcu, że liczba publikacji fachowych może być uważana za taki wskaźnik. I tu znów występuje niejednorodność. Wiadomo więc, że szanse, by socjolog opublikował dziś w Polsce swoją pracę nawet niezbyt odkrywczą, są wielokrotnie wyższe niż możliwości ekonomisty. Wynika to nie tylko z wielkości kadry, lecz także z liczby czasopism. Wszystkie podane tu przykłady wskazują na postępujący proces komplikowania się kryteriów ocen funkcjonowania nauki, a co za tym idzie — kryteriów jej moralnego wartościowania.

Traktujmy to moralne wartościowanie jako odniesienie działań naukowca do pewnych celów i kryteriów o społecznym charakterze. Tym dobrem, któremu służą, będzie więc społeczność uczonych, dyscyplina naukowa, zespół koleżeński, region, kraj, w końcu cała ludzkość, której nauka globalnie służy. Odpowiadając na pytania o etos polskiego uczonego, poszukujemy jakichś wspólnych i jednych dla całej nauki wartości. Wartości te można oczywiście wyliczyć i okaże się, że jest ich bardzo wiele.

Zadna z cech dobrego uczonego przeszłości nie straciła na znaczeniu, doszły natomiast nowe, które — nie w pełni uświadamiane

przez obserwatorów zewnętrznych — wpływają na treści ocen samych pracowników nauki. Nie chodzi więc o to, czy jakaś z tych cech straciła zupełnie na znaczeniu, lecz czy można mówić o dominujących dziś kryteriach w dużym stopniu wpływających na kierunki wyborów i podejmowane decyzje. Pytanie, jakie powinniśmy sobie zadać, to czy takie hierarchie są odczuwane. Wydaje się, że tak, chociaż jest to zindywidualizowane w poszczególnych dziedzinach badań, a nawet w środowiskach. Tam, gdzie nie ma zgody na kryteria wyboru, etos nie istnieje, a miejsce jego zajmuje prywata i żerowanie na nauce. Występowanie czysto egoistycznych pragmatycznych orientacji nie jest w nauce częste. Uczni różnią się kryteriami, lecz nie są ich pozbawiani. Mimo trudności nie występuje w nauce taki moralny chaos, który pozbawiałby badacza orientacji na temat celów jego działania.

Jerzy Mikułowski-Pomorski

### Motyw śmierci w polskiej szkole filmowej

Formacja zwana polską szkołą filmową należy do tych zjawisk artystycznych, które potrafiły nadać motywowi śmierci znaczenie szczególnie uprzywilejowane: rangę, jakiej w dotychczasowych dziejach kina motyw ten nie osiągnął jeszcze nigdy. W filmach szkoły polskiej — od *Pokolenia* i *Człowieka na torze* po *Zaduszki* i *Jak być kochaną* — śmierć jest motywem stale obecnym. Można przyjąć, że przy całej różnorodności indywidualnych rozwiązań, widocznej nawet w obrębie jednej poetyki autorskiej<sup>1</sup>, jej powracająca obecność, by nie powiedzieć wszechobecność, stanowi cechę konstytutywną utworów należących do tej formacji. Nadaje im też ona charakter swoisty i integrujący w stopniu pozwalającym na swobodne wiązanie z sobą dzieł stylistycznie tak odmiennych, jak filmy Wajdy, Munka czy Hasa; filmowa egzystencja tego motywu kryje w sobie rodzaj tajemniczego szyfru, który zapewnia jej przy całym bogactwie wewnętrznym daleko idącą jednorodność znaczenia.

Pytanie o wartość etyczną i sens śmiertelnego finału pojawia się już w dwóch pierwszych filmach tej formacji — *Pokoleniu* i *Człowieku na torze*. Towarzyszy ono tragicznemu schyłkowi życia Jasia Krone, uciekającego przed pojmaniem, i pozwala zrozumieć niedaremne poświęcenie starego maszynisty Orzechowskiego. Da-

<sup>1</sup> Por. studium J. Urbaniaka *Krajobraz śmierci w wojennych filmach Andrzeja Wajdy*. W: *Polska szkoła filmowa. Poetyka i tradycja*. Pod red. J. Trzynadłowskiego. Wrocław 1976, s. 7—28.